

Przygoda Stasia

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

PRZYGODA STASIA

Bolesław Prus

Bohaterem opowiadania jest osoba, która ma trochę więcej niż łokieć wzrostu, około trzydziestu funtów wagi i ledwie od półtora roku odbywa doczesną wędrówkę. Tę klasę obywateli kraju ludzie dorośli przezywają dziećmi i w ogóle nie traktują dość poważnie.

Dlatego z pewną obawą przedstawiam czytelnikom niedużego Stasia i przede wszystkim proszę ich o cierpliwość. Jest to dziecię tak ładne i czyste, że mogłaby je ucałować każda dama. używająca czteroguzikowych rękawiczek. Włosy ma lniane, oczy duże, szafirowe, zgrzebną koszulkę i tyle zębów, ile potrzeba do pójścia na własny chleb. Prócz tego posiada on kołyskę, pomalowaną w czarne i zielone kwiaty na żółtym tle, tudzież wózek, którego jedyną wadę stanowi to, że każde koło zdaje się toczyć w innym kierunku.

Czułbym się niepocieszonym, gdyby powyższe zalety nie zdobyły sympatii dla Stasia, który na nieszczęście obok nich nie posiada żadnej niezwykłej cechy. Staś jest dzieckiem legalnym i nie podrzuconym; nie okazuje najmniejszych zdolności do kradzieży lub do gry na jakim instrumencie, a co gorsza — nawet cień głupkowatości nie daje mu prawa do tytułu dobrze urodzonego.

A jednak — jest to dziecię niepospolite; tak przy najmniej twierdzi jego ojciec, Józef Szarak, z profesji kowal, jego matka, Małgorzata ze Stawińskich, i dziadek Stawiński, młynarz, nie licząc kumów, przyjaciół i wszystkich osób czcigodnych, które miały możliwość stracić zimną krew przy obchodzie ceremonii chrztu świętego.

Samo urodzenie Stasia zależało od nieprawdopodobnej kombinacji faktów. Naprzód bowiem musiał Pan Bóg stworzyć dwie rodziny: kowali Szaraków i młynarzy Stawińskich; po wtóre — sprawić to, aby jedna z nich miała syna, a druga córkę; a po trzecie — zepsuć we młynie pewną sztukę żelazną i do odkucia jej sprowadzić młodego Szaraka w tej właśnie porze, kiedy serce Małgosi rozwinęło się niby kwiat lilii wodnej na stawie jej ojca. "Istny cud!..." — jak słusznie mawiała stara Grzybina, dzieląca czas pomiędzy zamawianie chorób i zebranie, które to specjalności nadają storkom wiejskim prawa do rozumienia się na cudach.

Ponieważ według jednozgodnej opinii kobiet doświadczonych Staś "wdał się" w matkę, ośmielimy się więc jej przede wszystkim poświęcić kilka wyrazów. Jest to tym niezbędniejsze, że kowalowa odegra rolę bohaterki w zdarzeniu, które (ze smutkiem wyznajemy) nie będzie ani kryminalnym występkiem, ani romanssem wołającym o pomstę do nieba.

Przy grobli, którą tylko w piątej porze roku można przejechać, obok wielkiego stawu, w którym obficie rosły badyle wodne i przeglądał się olszowy gaj, stał młyn. Był to czarny i stary budynek, z oknami o drobnych szybkach, i posiadał przy prawym boku dwa ogromne koła, dzięki którym trząsał się i klekotał od lat trzydziestu, sporo grosza napędzając właścicielowi — Stawińskiemu.

Młynarz miał syna i córkę, właśnie Małgosię. Syna posłał w świat, aby zbadał sposoby otrzymywania najdelikatniejszej mąki, a córkę chował przy sobie. Nie brakło jej niczego, bo ojciec ani na szmatki dziewczynie, ani na domowe porządki nie żałował pieniędzy. Brakło jej tylko pieśczot.

Stary nie był złym człeczną; obejście jednak miał chłodne, odzywał się rzadko a ostro i tonął w interesach. To młynarczyków pilnował, aby zboża ludziom nie kradli, to frasować się musiał, aby chrząkającym pod podłogą młyna wieprzkom dziesięcinę z otrąb regularnie odsypywano, to znowu liczył procenta od sum wypożyczonych, odbierał jedne kwoty, a inne w ruch puszczał...

W takich postawiona warunkach Małgosia żyła tylko z naturą a kochała swój młyn... Kiedy w dzień pracowała w sadzie albo karmiła kury i kaczki wielkie i tłuste, albo pieściła się z krowami, które na głos jej biegły jak psy — młyn szumiał i trajkotał poważne, niesłychane melodie.

W jego warkocie odzywały się wszystkie instrumenta: skrzypce, bębny, organy, ale grały coś takiego, czego żadna kapela, żaden by organista nie powtórzył.

Naturą wydawała się Małgosi bardzo wielkim jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były: wsie rozrzucone po polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jej sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy, przypatrując się obłokom, co wychodziły spoza czarnego płotu iasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza — słuchając szumu wiatry co marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny chwiejącej się na bagnie, zapytywała: czy własny jej byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?... Wówczas, bez żadnego powodu, łzy nabiegały jej do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jej wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki, i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnej pieśni ludowej. Aż ojciec wychodził z młyna i mówił markotny:

— Co ty wyśpiewujesz, dziewucho?... Dałabyś lepiej spokój, bo się ludzie śmieją!...

Zawstydzona Małgosia milkła, ale za to przyjaciel młyn każdy wyraz jej i każdą nutę powtarzał, tylko że jeszcze składniej i piękniej. I czy podobna było nie kochać go, choć wyglądał jak straszna głowa niebываłego zwierzęcia na kilkunastu nogach osadzona, choć ział z paszczy gorącym i pyłem, a wył i trzął się, jakby jadących groblą chciał pogruchotać ogromnymi kłami.

We święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe chorągiewki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na śliskie koła. Wówczas, jeżeli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia w czółno i pinyła het! na ogromny staw, skąd tylko było widać wierzchy młyna.

Tu, zadumana nad głębią, gdzie jak cienie mknęły ryby okrągłookie, przysłuchiwała się szelestom tataraku na kępach, krzykom zwołujących się ptaków wodnych albo, zwiesiwszy głowę na krawędź czółna, patrzyła, jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kroplach nocnej rosy... To welon... to płaszcz, a to... suknia powłóczysta... Płynęła ku nim, lecz wiatr odrzucał je na łąkę, nad którą wnet tworzyło się jezioro mgły srebrno-białej, pełne pląsających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dlaczego jej nie dopuszczano?...

Tymczasem nadchodziła północ. Łódka poczynała drzeć, między kępami rozlegały się ciche pluskania, poza trzcina zapalały się światła tajemnicze i blade. Zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi i słycać było, jakby ktoś szeptał po kępach: „Hej! hej!... nie wyjdzie stąd dziewczyna!...”

Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w oponę mgły rzuciły płomień, czarne wielonożne cielsko poczęło dygotać i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny znany jej, hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem: „Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...”

Teraz dziewczucha spokojnie odkładała wiosło, bo porwany, w ogromną paszczę młyna prąd wody sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnie łódki jak senne dziecię w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzyła na blade płomyki, skaczące z gniewu nad bagnem, i na chłodne,

wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz mocniej gniewał się i krzyczał: „Mał goś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...”, niespokojny o swą dziewczynę. Wreszcie dziób łódki uderzał o belkowanie mostu.

Jednej nocy, wyskoczywszy po takiej wędrowce na brzeg, zobaczyła na moście ojca. Stał oparty o poręcz i z uwagą patrzył na siejącą się wodę. W Małgosi serce zadrżało na myśl, że i on czuwa nad nią, choć taki z pozoru obojętny. Wbiegła na most i przytuliwszy się do ramienia ojca rozmarzona spytała:

— Tatuniu! a kogoście tu wyglądali?...

— Myślałem, że chłopcy ryby kradną! — odparł stary i ziewnął. Potem, podrapawszy się, z wolna pociągnął do chaty.

Nigdy jeszcze Małgosia nie czuła się tak samotną i opuszczoną jak w tej chwili i nigdy mocniej nie pragnęła, aby przecie i ją ktoś kochał. Teraz zdawało się jej, że stolarz z miasteczka, skąpy i brzydki wdowiec, który jadł za trzech, miał płaskie piersi i nogi rozbiegnięte jak widły, że stolarz ten jest człowiekiem bardzo dorzecznym. A już o mielniku, który dzierżawił wiatrak o dwie mile stąd, często się śmiał i w ogóle za głupkowatego uchodził, nie mogła myśleć bez wzruszenia!... Nawet podobne do podługowatych worków z mąką chłopaki jej ojca, ludzie ordynarni i kłótlivi, w obecnym nastroju duszy wydawali się jej osobami posiadającymi dużo zalet, choć kilka miesięcy temu patrzeć na nich nie mogła bez ckliwości.

W tym ciężkim położeniu znowu młyn postanowił przyjść jej z pomocą i pewnego dnia — pękł we środku z wielkim hałasem... Aż omączone młynarczyki pobladły ze strachu, a Stawiński rzucił czapkę o ziemię. Czym prędzej wstrzymano wodę i poczęto radzić, a nawet zaczepiać wszystkich, którzy przejeżdżali po grobli. W całym domu zapanował bezład. Chłopcy sejmikowali na moście ku zgorszeniu podróżnych. Stary nie chciał jeść obiadu i począł kląć się na wszystkich świętych, że pewno niedługo umrze, a wieprzki, które mieszkały pode młynem, widząc, że nikt im nie sypie otrębów, kwiczały, jak gdyby nadchodził koniec świata.

Wśród zamętu ze sto razy wymieniono nazwisko kowala Szaraka, a wreszcie jeden z chłopców zaprzągnął konika do wozu i pojechał w stronę miasta. Małgosię ogarnął taki strach jak onego dnia, kiedy to zaziębiwszy się wyglądała felczera, który miał jej stawiać bańki. Przeczesała włosy, wciągnęła nowe trzewiki i wybiegła przez młyn, który narobiwszy takiego kwasu wszystkim, rozwał się teraz nad groblą i wyszczerzał zęby — bardzo kontent.

Zaczerniała noc, powiał wiatr chłodny, i dziewczyna musiała iść do swej komory. Ledwie układała się, gdy zatrajkotało na dworze i jakiś głos obcy doleciał ją od strony młyna. "O Jezu!..." — pomyślała Małgosia i pędem odzawszy się dalejże ładować wódkę, rozdmuchiwać ogień i grzać kielbasę z sosem. W kwadrans wszystko było gotowe, czego by rozespana służąca i przez godzinę nie zrobiła.

Tymczasem kowal, obejrząwszy młyn jak baba chorego, przyszedł ze Stawińskim do chaty. Już w sieni zaleciała go woń wereszczaki i aż uśmiechnął się, tak mu było przyjemnie, że go młynarz szanuje i do północy z kolacją czeka. Zdziwił się jednak zobaczywszy w izbie stół ślicznie nakryty, na nim dymiący półmisek i dwa krzesła naprzeciw siebie, ale gospodyni — ani okrucza!

Zafrasowany młynarz przepił do niego wódką, zaprosił do jedzenia i sam jadł milcząc, jak to było w jego zwyczaju. Dopiero po kolacji odezwał się:

— Małgoś!... a trzeba by do młyna posłać poduszkę i derkę, bo pan kowal będą nocowali u nas.

Wyszła Małgosia, czerwona, że aż jej wstyd było. Ze złości na siebie miętoszyła fartuch w rękę i patrzyła w ziemię. Ale kiedy podniosła źrenice i ujrzała młodą, wesołą twarz kowala i jego oczy spod czarnych brwi błyszczące, parsknęła śmiechem i wybiegła do sieni wydać rozkazy służącej.

Kowal także się śmiał, sam nie wiedząc z czego, a ciągle zmartwiony Stawiński mruczał pod nosem:

— At! czysta koza!... Ludzi rzadko widuje i dlatego taka chichotliwa... Głupie to jeszcze, ma dopiero osiemnaście lat...

Na drugi dzień Szarak o świcie wziął się do roboty, lecz nim wyrzucił kowadło i przy ognisku miech urządził, już mu podano śniadanie. Pierwszy raz w życiu Stawiński przyznał, że jego córka jest dobrą gospodynią i dba o gości. Ale młynarskie serce jego nie mogło się oprzeć wzruszeniu, gdy zobaczył, jak Małgosia frasuje się o młyn, jak tam często zagląda i o wszystko zapytuje Szaraka. Mniej mu się już podobało to, że kowal dużo gada w ciągu roboty albo pokazuje takie na przykład sztuki, jak chwytywanie gołymi palcami żelaza do białości rozgrzanego. Milczał jednak stary widząc, że majstrowi pali się robota w rękę i że, choć pobaraszkuje chwilę, to jak zacznie kuć — aż ziemia stęka!... Naprawianie trwało parę dni. W ciągu tego czasu kowal i młynarzówna zaprzyjaźnili się bardzo, a wieczory spędzali stanowczo razem i tylko we dwójkę, bo uspokojony Stawiński począł znowu zajmować się interesami i na córkę mniej zważał. Otóż ostatniego wieczora, siedząc pod chatą na ławce, taką młodzieńców prowadzili rozmowę, półgłosem co prawda, bo im tak szło najskładniej.

— To pan Józef mieszka o pół mili za miastem, na górce? — spytała dziewczyna.

— Ale! ale!... na onej, co do łąki idzie, co to jest płot chruściany i trochę drzewin — odparł kowal.

— Jaki by tam sad był! Zaraz bym nasadziła buraków, kartofli, fasoli i kwiatów, żeby to było moje!

Kowal spuścił głowę i milczał.

— I chatę pan Józef ma ładną. To ta, co przy niej studnia z żurawiem?

— Jużci że ta, ale co nieładna, to nieładna!... Nie ma komu dbać o nią...

— Żeby tak na mnie — mówiła Małgosia — obieliałabym ją jak się patrzy, w okna bym dała firanki i doniczki, w izbie zawiesiłabym wszystkie te obrazy, co mam... Czemu pan Józef tak nie robi, zaraz by mu przecie było weselej?...

Kowal westchnął.

— Ech! — rzekł — żebyśmy tak bliżej mieszkali, to by mi Małgosia zaraz ochoty dodała i poradziła, gdzie co robić!...

— Oj, oj!... sama bym nawet zrobiła, jakby pan Józef poszedł do kuźni...

— Ale na taką dalekość — ciągnął kowal biorąc dziewczynę za palec — to by pewnie Małgosia nie chciała odejść starego?

Teraz młynarzówna umilkła.

— Okrutnie mi się Małgosia podobała, sprawiedliwie mówię!... Psiakość!... jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da... Ale Małgosi nic po tym!... Małgosi to by się jaki rządca patrzył...

— Ja przecie wiem, co pan Józef jest warty! — ofuknęła go dziewczyna odwracając głowę. — O żadnych tam rządcach nie myślę, tylko o tym, żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za całą rękę.

— No — spytał nagle kowal — a poszłaby Małgosia za mnie?...

Tchu jej zabrakło.

— Ja tam nie wiem!... — odparła.

W tej chwili Szarak schwycił ją wpół i pocałował w odchyłone usta.

— I i... z takimi żartami!... — syknęła obrażona, wyrwała mu się z objęć i wpadła do chaty zasuwając drzwi za sobą.

Tej nocy żadne z nich nie spało.

Na drugi dzień zakręcono ostatnie śruby i podniesiono stawidła. Potok wody lunął z szumem na usychające z nudów koła, które zachwiały się i zaczęły obracać. Młyn szedł doskonale!...

Stawiński, aby się nie zdradzić, przyciął wargi, ale mu ręce drżały z radości. Obejrzał wszystko, nawymyślał, młynarczykom, a wreszcie zaprosił kowala po pieniądze do cha ty i postawił butelkę miodu.

Kiedy wykladał na stół najnowsze papierki, Szarak drapał się w ucho i markotnie uśmiechał. Młynarz spostrzegł to i zapytał:

— A co, synku, jeszcze ci krzywda, żeś mi dwadzieścia i trzy ruble z kieszeni wypłoszył?

— Za takie wyrychtowanie młyna, to by mi się córka od was należała! — szepnęła Józef.

— Co?... — krzyknął stary — może wolisz dziewczuchę niż pieniądze?

— Wolę i to, i to...

Stawiński spojrzał mu bystro w oczy.

— Ale ja za nią teraz gotówki nie dam, dopiero po mojej śmierci — rzekł.

— Dłużej mnie niż wam na świecie! — odparł Szarak i pocałował go w rękę. — Bez wyprawy przecie dziewczuchy nie oddacie, a mnie już samemu tak nudno, osobliwie jak zima przyjdzie, że...

Za otwartym oknem, mignęła głowa Małgosi.

— A chodź ino tu!... — zawołał ojciec.

— Ja tam nie pójdę!... — odparła zasłaniając oczy — niech tatunio sami uradzą!...

Stawiński pokiwał głową.

— Oj, kowalu! kowalu!... — rzekł — nie straciłeś tu jak widzę, czasu na próżno. Ha! kiedy takie zrządzenie Boskie, to ci oddam dziewczuchę, boś dobry majster i wiem, żeś dostatni... Ino mi nie krzywdź dziecka, bo tego bym ci nie darował...

W kilka tygodni później odjedzono, odpito i odtąncowano wesele Małgosi z kowalem. Przy okazji pogodziło się ze sobą dwóch od dawna zwaśnionych sąsiadów, a pokłóciło czterech. Jeden z młynarczyków Stawińskiego, podpiwszy sobie nieco, przysiągł, że się z desperacji utopi, lecz poprzestał tylko na upiciu się dokładniejszym. Natomiast pewien gospodarz, który od dawna miał zamiar wyrzec się wódki, wleciał niechcący w staw i od swej żony otrzymał energiczne napomnienie. Już w pierwszym dniu wesela widłonogi stolarz i wiecznie śmiejący się posiadacz wiatraka, którzy obaj konkurowali o Małgosię, zaczęli rozpowiadać znajomym i nieznanym, jako dziewczyna ma defekt, a jej ojciec bawi się lichwą, skutkiem czego we młynie straszy i ludziom wykrada zboże z worków. Każdy z zawiedzionych konkurentów upewniał, że nigdy by się z młynarzówną nie ożenił, a tymczasem — państwo młodzi wyjechali do kuźni...

Tu Małgosia święcie dopełniła obietnic. Odnowiła chatę, oplotła ją dzikim winogrodem, ozdobiła wewnątrz obrazami i sprzętami i założyła piękny ogródek na wzgórk, co do łąki spadał. Pod jej nadzorem zwiększył się i wyprzystojniał dobytek kowala, chata wyglądała jak dworek szlachecki, a on sam, Szarak, sprawił sobie nowy fartuch skórzany, tak wielki, że by z niego dwóch porządnych warszawiaków wykroił i jeszcze by coś zostało na warszawiankę...

Wśród tych zajęć upłynął rok młodemu gospodarstwu. Przyleciały bociany z wiosną, osiadły na prastarym gnieździe na stodółce i jak zaczęły klekotać a klekotać, tak w końcu wyklekotały małego Stasia. W dniu tym kowal zamknął warsztat, dziadek. Stawiński przyjechał o czubatą milę drogi oklep, i rzewnie rozplakał się zobaczywszy tłustego, różowego wnuka, który krzyczał, jakby go ze skóry odzierano, a na rączkach i nóżkach miał tyle dołków, ile kosteczek.

W podobnych warunkach znalazłszy się piękne damy zasłaniają okna grubymi roletami sprawiają sobie do pomocy mamki sztuczne i naturalne i przez miesiąc z okładem odpoczywając w haftowanym

negliżu, jakby świat zbudowały, przyjmują powinszowania od pań i panów, półgłosem gadających po francusku. Ponieważ jednak Małgosi sztuki te były nie znane, więc już w czterdzieści osiem godzin wzięła się do roboty, a dziadek za nią chorował — naturalnie z radości. W kilka dni poznał już swego wnuka do gruntu, odkrył, w nim wielkie zdolności młynarskie i pierwszy przyznał, że nie zdarzyło mu się widzieć równie mądrego jak Staś dziecka nawet między szlacheckimi! ...

A nowonarodzony tymczasem przechodził ciekawą i pełną tajemnic epokę niemowlęstwa, której niejasne wspomnienia odnajdujemy niekiedy w snach, uchylających jakby wrota przedświadomego życia.

Wyobraźcie sobie prostaka, którego w jednej chwili zasypują sprawami całego społeczeństwa. Są tam kwestie artystyczne i przemysłowe, filozoficzne i rolnicze, zbrodnie i cnoty, a między nimi mnóstwo interesów, od których zależy jego własne istnienie. On musi to wszystko uporządkować, sprawy swoje oddzielić od obcych, w jednej godzinie uczyć się praktycznych wskazówek na potrzeby drugiej i nią upaść pod brzemieniem pracy! ...

W tym położeniu znalazł się pewnego dnia Staś. Po długim śnie przedbytowym spadł na niego huragan wrażeń. Powietrze drażniło mu skórę i płuca, do oczu skakały barwy białe, szare, niebieskie, zielone, czerwone — we wszelkich kombinacjach i odcieniach, a wraz z nimi tysiące form ożywionych lub martwych. Słyszał rozmowy ludzi, łoskot własnej kołyski, bulgotanie gotującej się wody, brzęk much i skomlenie szczeniątka, Kurty. Czuł ucisk powijaków, odcienia temperatury zmieniającej się co chwila, a w końcu — głód, pragnienie, senność i ruch własnych członków. Wszystko to, nieuporządkowane, chaotyczne, natrętne, kipiało w głębi jego drobnutkiej, ledwie budzącej się egzystencji. Nie umiał wskazać, skąd przychodzi głód, a skąd biały kolor albo łoskot młotów bijących w kuźni. Czuł tylko zmęczenie i kwilił, biedak, drząc z zimna. Jedyłą rozrywkę, jego stanowił sen, który mu co chwila przerywano, i — możliwość ssania. Toteż ssał jak pijawka, spał i krzyczał, a ludzie dorośli kiwali głowami nad jego niedołęstwem! Słyszycie?... niedołęgą nazywali osobę, która w tak straszny odmęt wpadła i tyle spraw obowiązana była załatwić!

W tej epoce Staś nie odróżniał jeszcze swej matki od siebie samego, a gdy mu się jeść bardzo chciało, ssał wielki palec własnej nogi zamiast matczynej piersi. Śmiano się z tego, choć znamy przecież ludzi pełnoletnich i rozumnych, którzy zamiast własnej dwudziestogroszowej laski zabierają cudze dwurublowe kalosze...

Po ciężkiej pracy i kilkomiesięcznych doświadczeniach doszedł Staś do wielkich rezultatów. Udało mu się uchwycić różnicę między swoją nogą a krawędzią kołyski, a nawet między łonem matki i sienniczkiem. W tym czasie był już bardzo mądry. Wiedział, że głód morduje go od strony nóg, że w jednych punktach głowy koncentrują się wszystkie możliwe hałasy, w drugich — wszelkie barwy i że trzeci punkt służy do ssania.

W kilka miesięcy później porobił jeszcze więcej odkryć. Odróżniał już wypadki złe od dobrych i rzeczy ładne od brzydkich. Dawniej uśmiech i płacz, marszczenie czoła i wyciąganie rąk albo nóg następowały po sobie bez żadnego porządku; posługiwał się nimi jak początkujący grajek klawiszami fortepianu, których dotyka nie wiedząc, co z tego wyniknie. Dziś śmiał się tylko na widok matki, która mu jeść dawała; płakał po kąpieli, przeciw której protestowały wszystkie jego dwunożne instynkta, marszczył się na widok powijaków krępujących ruchy dzieciom, a do garnczka z ocukrzonym mlekiem wyciągał rączki i nóżki.

Teraz poczęły się w nim tworzyć sympatie i antypatie, obawy i nadzieje. Lubił Kurte, ponieważ pies był ciepły, lizał go i miał mordę jak aksamit. Lękał się ciemności, wśród której można się było rozbić; tęsknił za sadem, gdzie pełną piersią oddycha się i gdzie harmonijny szmer drzew, powtarzający rytmy pieśni matczynej, kołysał dziecię do snu. Barwy szare, które przypominały

twardą podłogę lub nie zawsze suchy sienniczek, nie podobały mu się. Natomiast barwy czerwone i niebieskie, przedmioty błyszczące — podniecały go do śmiechu. Wiedział już, że płomień świecy, aczkolwiek ładny i skacze, nieuczciwie jednak obchodzi się z palcami dziecka. Pamiętał też, że nogi ojca są twarde, czarne i większe od całego Stasia, a nóżki matki są tak niskie, że zaczynają się i kończą przy samej ziemi.

Dla matki czuł bezwzględna miłość, ona mu bowiem najwięcej sprawiała przyjemności. Ojciec zaś cieszył się o tyle względami Stasia, o ile posiadał zaciekawiające wąsy tudzież najponętniejszą w świecie rzecz — zegarek. Za to pieszczoty ojcowskie nie nęciły go; bawił bowiem wtedy chłopca, gdy mu się jeść albo spać chciało, niemiłosiernie drapał go szorstką brodą i ogromnymi, niezgrabnymi rękoma gniótł jego młode i wątłe kosteczki. Jedna tylko rzecz sprawiała, że Staś na widok ojca wyciągał niekiedy rączki i śmiał się: oto — huśtanie. Niewygodnie, co prawda, było dziecku w tych potężnych ramionach, ale za to jak one go podrzucały wysoko, jaki się robił wicher około niego, jak mu włoski rozpraszał i koszulkę podwiewał.

Staś już umiał się bawić i figlować. Niekiedy matka brała go na kolana, a ojciec siadał naprzeciw i prosił: — Chodź, Stasiu, do mnie, chodź!...

On niby idzie, wyciąga ręce, lecz nagle odwraca się i bęc!... twarzą o ramię matki. Już Stasia nie ma ani na lekarstwo w całym domu, a przynajmniej — on sam nikogo nie widzi!

Czasami ojciec postawił go na stole i trzymał pod boczeki, a matka się chowała. Chowa się matka za ojca z prawej strony, a Staś — myk! główkę na prawo i już ją znalazł... Chowa się matka za ojca z lewej strony, a Staś myk! główką na lewo i znowu ją znalazł. Dziecko bawiłoby się tak cały dzień, ale cóż, kiedy ojciec, musiał iść do kuźni, a matka do swoich krów! Kładziono wtedy malca w kołyskę i robił się ogromny harmider w domu, aż Kurta szczekał!...

Chłopiec niekiedy stawał na głowie, ale wnet zmiarkował, że pozycja to niewygodna i że najodpowiedniejsze dla natury ludzkiej jest chodzenie — na czworakach. Dzięki tym ruchom przekonał się, że ściany, krzesła i piec nie siedzą w jego oku, ale gdzieś, zewnątrz, znacznie dalej niż na długość ręki.

Potężnie wzrastające siły muskularne zmuszały go do wykonywania pewnych prac. Najczęściej dotyczyły one przewracania małego stołeczka, bicia łyżką w podłogę lub bujania kołyską. Ponieważ zaś przez jakiś czas sypiali w niej razem z młodym Kurtą, pies więc zobaczywszy kołysanie wskakiwał na sienniczek i rozkładał się jak hrabia! To bezczelne nadużycie praw doprowadzało Stasia do zazdrości; krzyczał więc dopóty, dopóki psa nie wypędzono i nie ułożono jego samego w kołysce.

Później zaczęto go uczyć trudnej sztuki chodzenia. Chłopca bawiło to, że się tak wysoko wznosi nad ziemią; rozumiał jednak związane z przyjemnością niebezpieczeństwa i nader rzadko oddawał się jej bez pomocy osób starszych. W takim razie naprzód — stawał; potem podnosił lewą rękę i prawą nogę, wyginał ją ku środkowi i prawym brzegiem stopy — plusk! o ziemię. Następnie podnosił prawą rękę i lewą nogę, wyginał ją do środka, kulił palce i lewą krawędzią stopy — plusk o ziemię! Po kilku tak skomplikowanych ruchach nie posunął się ani na krok z miejsca, ale za to dostawał zawrotu głowy i upadał. Wówczas myślał, że jakkolwiek chodzenie na dwóch nogach dogadza ludzkiej próżności, niemniej jednak tylko suwanie się na czworakach ma wartość praktyczną. Widok osób chodzących na dwóch nogach budził w nim takie uczucie, jakich doświadczać by musiał człowiek rozsądny dostawszy się między gromadkę skoczków na linie. Z tego powodu bardzo szanował Kurtę, posługującego się wszystkimi czterema kończynami, i marzył o tym tylko, aby mu dorównać kiedyś w bieganiu.

Widząc niepospolity rozwój duchowych i fizycznych przymiotów dziecka, poczęto myśleć o jego

edukacji. Nauczono go mówić: "tata", "mama" i "Kurta", który przez pewien czas nazywał się tak samo jak "tata"; kupiono mu wysoki stołek z poręczą i podarowano piękną łyżkę lipową, którą Staś od biedy mógłby sobie głowę nakrywać. Ojciec, naśladowający we wszystkim matkę, chciał też jedynekowi swemu prezent zrobić, i w tej myśli przyniósł pewnego dnia śliczną dyscyplinę na sarniej nóżce. Gdy Staś wziął do rąk cenny podarunek i zaczął ogryzać czarne dwuzębne kopytko, matka zapytała męża:

— Po coś ty to przyniósł, Józik?

— A na Staszka.

— Jakże? To ty go będziesz walił?

— Co go nie mam walić, kiedy on będzie taki wisus jak ja.

— Widzicie go!... — krzyknęła matka tuląc syna. A skądże ty wiesz, że on będzie wisus?...

— Niech no by nie był... to bym go dopiero prał!... — odparł dobrodusznie kowal.

Ponieważ w tej chwili Staś zaczął krzyczeć, rozgniewał więc matkę i nagiął ją do opinii ojcowskich. Rodzice nie sprzeczekali się już, uznali środek za niezbędny i — zawiesili dyscyplinę na ścianie, między świętym Florianem, który od niepamiętnych czasów jakiś pożar gasił, i zegarem, który od dwudziestu lat na próżno usiłował chodzić dobrze.

Niezależnie od pierwszych zasad moralności, opartych na sarniej nóżce, starał się kowal o nauczyciela dla syna. Był wprawdzie we wsi stałym pedagog, ale ten więcej zajmował się pisaniem denuncjacji i próbowaniem dobroci wódek aniżeli elementarzem i dziećmi. Chłopi i Żydzi gardzili nim, a cóż dopiero Szarak, który nie myślał bynajmniej obciążać nauczyciela edukacją swego syna, lecz od razu zwrócił się do organisty.

"Ma teraz Staszek piętnaście miesięcy — myślał kowal — za jakie trzy lata matka nauczy go czytać, a za cztery trzeba go oddać organiście..."

Tylko cztery lata!... Dziś więc już wypadało zaskarbić sobie względy sługi Bożego, który golił się jak ksiądz, nosił długie czarne surduty, mówił przez gardło i wtrącał do rozmowy łacińskie wyrazy z ministrantury.

Nie zwłócząc tedy zaprosił Szarak jednego razu organistę do Szulima na miodek. Pełen namaszczenia artysta kościelny utarł nos w kraciatą chustkę, odchrząknął i — zrobiwszy taką minę, jakby chciał wypowiedzieć kazanie przeciw trunkom gorącym — doniósł Szarakowi, że dziś i zawsze, i przez wieki wieków gotów jest chodzić z nim do Szulima na miodek.

Organista był dumny, drażliwy, a nade wszystko — miał słabą głowę. Już przy pierwszej butelce zaczął bredzić, a przy drugiej rozczulił się i zawiadomił Szaraka, że go uważa prawie za równego sobie.

— Bo to widzisz, mój... Panie święty!... jest tak. Mnie jako organiście, miechem dmą, i tobie, jako kowalowi... Panie święty!... także miechem dmą... Więc... niby już wiesz, co chcę powiedzieć? Oto, że kowal i organista — to bracia... Cha! cha!... bracia! Ja, organista, i ty — smoluch!... *Misereatur tui omnipotens Deus!*

Szarak, zwykle wesoły, przy butelce robił, się ponurym. Nie zdołał więc ocenić komplementu współbiedniaka i odparł tak głośno, że go Szulim i paru gospodarzy usłyszało:

— Bracia — nie bracia!... kowal to prędzej do ślusarza przytyka, a organista... jak zwyczajnie organista — do dziada!...

— Co?... ja do dziada?... — krzyknął obrażony mistrz przeszywając kowala płomieniejącym wzrokiem.

— A jużci tak!... Przecież wy się nawet modlicie za pieniądze i gracie ładniej, kiedy wam kto...

Nie dokończył Szarak, w tej chwili bowiem otrzymał butelką tęgi cios powyżej ciemienia, tak że

szkło na sufit bryznęło, a lepki miód rozlał się po twarzy i świątecznych szatach kowala.

— Łapajcie go! — krzyknął poszkodowany nie wiedząc, czy się obcierać, czy gonić organistę, który uciekał po linii według jego zdania najkrótszej, lecz w każdym razie bardzo Pociętej.

Teraz obecni wdali się między obrażonych. Wyrzucili za drzwi organistę i poczęli mitygować kowala, który nie posiadał się z gniewu.

— Dam ja ci, dławidudo!... — wrzeszczał Szarak ujrawszy za oknem uroczystszą niż kiedy fizjognomią organisty.

— Józefie!... kumie!... panie kowalu!... — perswadowali pośrednicy — uspokójta się!... Co się wam gniewać na pijanego?... On durny, on sam nie wie, co robi...

— Zbiję rozbójnika na nie!...

— Dajta spokój, panie Szaraku!... Co to bić?... bić nie każdego wypada... On-ci także duchowna osoba i zaraz po wikarym pierwszy!... Jeszcze by was Bóg skarał...

— Nic mi nie będzie!... — odparł kowal.

— No, że wam nic... Ale macie żonę, dziecko!... Ostatnie wyrazy cudowny wywarły skutek. Na myśl o żonie i dziecku rozbawiony kowal uspokoił się i nawet usiłował stłumić w sobie uczucie zemsty. Jużci co prawda, to prawda, że organista idzie zaraz po wikarym; a nuż by się Pan Bóg za obicie go rozgniewał i na żonie lub dziecku . krzywdy dochodził?...

Wyszedł z karczmy okrutnie markotny.

"Oj! z tymi dziećmi — myślał — to ci kłopot!... Mam dopiero jednego, a już muszę suszyć głowę o wynalezienie nauczyciela, tracić pieniądze na miód!... Jeszcze mnie za to przy ludziach poniewierają i swego oddać nie mogę, bo mi o dziecko strach...

Oj! Stachu, Stachu!... żebyś ty choć wiedział kiedy, co ja za ciebie wycierpiałem!... Daj Boże, żeby mnie choć żona nie zbeształa!..."

W domu nie obeszło się bez hałasu, ale odtąd Szarak jeszcze bardziej kochał syna, o którego edukacji myślał tak wcześniej i za co mu na głowie flaszki miodu rozbito. Poczciwy kowal w parę miesięcy zapomniał o swojej krzywdzie, lecz strasznie było mu przykro, że się pogniwał z organistą, jedynym mężem, który mógł pokierować wychowaniem synka, co już sam chodził, gadać umiał i w ogóle niepospolite okazywał zdolności.

Tymczasem nadeszło lato, a wraz z nim chwila, w której nadspodziewanie dobrze miały zakończyć się ojcowskie kłopoty kowala.

Pewnego dnia położyła matka Stasia w sadzie pod gruszą, podesała mu płachtę, podwinęła koszulkę i mówi:

— Śpijże tu, chłopak, i nie drzyj się, ty jagódka moja najśłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało!... A ty, Kurta, ligaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła albo pszczoła nie ugryzła, albo jaki zły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapię tyczki i tak wam kości porachuję!...

Ale na samą myśl wykonania groźby schwyciła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę zrobić, utuliła go, wycalowała i wyhuštała, wołając pieszczotliwym głosem:

— Ja bym ciebie miała bić tyczką?... To Kurtę psubrata, nie ciebie!... Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedyneńki, złoty!... Nie śmieć się ty, Kurto, sobako kudłata!... nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że ja bym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasięńka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu! lu! lu!... lu!... lu!...

A Kurta tył pod siebie zawinał, pysk z gorąca otworzył i czerwony jęzor wywiesił na lewo jak chustkę. Wyrozumiały pies i chytry!... On myśli sobie: "Gadaj ty zdrowa, a ja co wiem, to wiem, że ile razy sienniczek Staszewi suszyć wypadło, tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni

słysząc było!..."

Tak sobie myślał Kurta pyskаты, ale milczał wiedząc, że od najlepszych racji mocniejszy jest — ożóg, którym wszyscy domownicy, a gospodyni najpierwsza, mitygowali jego psie pretensje.

Staś tymczasem tarł oczy tłustymi pięstuszkami i Inia-nowłosa głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnie by jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tym garnczysku kaszy z mlekiem dobrze człowiekowi spać się chce!...

Chłopiec by już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba, więc znowu huśtała go i lulała, śpiewając:

*Cóżeś wskórała,
Żeś wędrowała
Po zielonej olszynie?
Jam choć to zyskał,
Iżem się wyspał
Na puchowej pierzynie!...*

Dopiero gdy jej zaciążył i wetknął głowę między ramię a piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurtę za mokry język i oglądając się poszła w głąb sadu.

Staśkowi płachta zgrzebna, a pod nią ziemia wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc choć mu nogi doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać za nią. A że był mały jeszcze, więc dobrze rozglądać się nie umiał i zamiast przed siebie, patrzył pod siebie, na murawę. Tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizwał go zawiesiście po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowę tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń. Jeszcze chciał się podźwignąć, oparł nawet prawą rękę na płachcie i usiłował rozplątać nóżęta. Ale w tej chwili palce u rączki rozbiegły mu się, wiśniowe usta rozchyliły, oczy gwałtem przymknęły i — zasnął. W jego wieku sen bywa mocny jak najtęższy chłop: pokłada człeka pierwej, nim się z nim zacznie borykać...

Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długimi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które na próżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, precedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z pąsowymi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano.

A rozczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i blad różowe makówki kiwały się jak Żydzi w bożnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ułów het odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecie Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola...

— Aj! zbytki! zbytki!... aj, jakie zbytki ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki szeptały:

— Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzicie!...

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom

kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić.

„Co to za świat! — myślał — na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa zamiast uczciwie pracować kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robią w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kują?... On małym młotkiem bije w kowadło: dyń! dyń! dyń! dyń!... a chłopcy wielkimi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!... aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział...”

I z rozpaczy nad powszechnym lenistwem upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jęka, spłaszczyl się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nie nie patrzeć...

Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole pełne kapusty należącej do gospodarza, wśród której zerowały stada zajęcy przebierających łapkami i nastawiających uszy jak palce...

— Ach, damże ja wam, hultaje! — szczeknął Kurta i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!...

Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zajęce mnożyły się jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy patrząc na tę jego bieganinę wołali: "Aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!..."

A Kurta wyciągnął się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś z daleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtem nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:
— Oj! Ty... ty... kundlu jakiś!... próżniaku!... Najadłeś się osypki i kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz jak kłoda i drzemiesz!...

Ocknął się pies i kłap! na muchę zębami.

— Widzicie ją, darmozjada!... Ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zajęce wyganiem z kapusty!...

I nie chcąc na obronę swego honoru czasu tracić wyciągnął się jeszcze lepiej i — wrócił do czynności. A mucha wciąż krążyła nad nim, choć się marszczył i pazury nadstawiał, i piszczała:

— Oj! ty!... ty... kundlu jakiś, legarcie!... Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniaku!...

I od tej chwili koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni — wszystko to w takt szemrało:

— Leń Kurta!... leń Kurta... leń Kurta!...

Ale pracowity Kurta wyciągnął się pod gruszą i precz gonił zajęce!

Gdy tak Staś i Kurta spali ładnie pod chuchaniem ciepłego wiatru, Szarakowa obrała liszki z kapusty, oporządziła buraki i poczęła rwać w przetak sałatę na obiad. Dobre to ziele żyło sobie w kacie sadu, przy chruścianym płocie, co biegł wzdłuż drogi. Gospodyni klękała nad nim ostrożnie i wybierając młode listki myślała: jak się też sałata ucieszy, kiedy ją w gorącej wodzie z kurzu obmyją, poleją octem i słoniną okraszają!

Narwała już z pół przetaka, prawie tyle, ile było potrzeba, gdy na drodze rozległ się szmer drobnego, powłóczystego chodu i stukanie kija o ziemię. Jednocześnie usłyszała Szarakowa jakby rozmowę:

— Ustatkujesz ty się w końcu, ha?... — pytał zmęczony głos niewieści.

Kowalowej zdawało się, że odpowiedział na to krótki, niewyraźny szelest, jakby kto kij ciągnął po piasku. Potem znowu nastąpiło kilka kroków i stukanie połączone z owym osobliwym szelestem.

— Psia wiara! — mówił głos gniewnie: — Tak mi się wywdzięcza, zem mu tyle świata

pokazała!... Zgniłby gdzie pod płotem albo by się palił w żarze jak dusza potępiona, żeby nie ja... Durny!...

Zaszeleściło znowu.

— A durny jesteś! mówię ci. Z pastuchami tobie najlepsza kompania, nie ze mną... Byłbyś mądry, gdyby cię psy zgryzły albo na świńskich kościach połamali. Kuternoga!...

Kowalowa podniosła się i o kilkanaście kroków od płotu ujrzała na drodze zgrzybiałą starowinę z wysokim kijem w ręku. Baba dźwigała na plecach wypchaną płachtę, a spod chusty wymykało jej się parę siwych kosmyków, trzęsących się wraz z głową.

— Komu tak, matulu, klniecie?... Grzybino!... — zawołała ze śmiechem Szarakowa.

Stara zwróciła się do niej.

— To wy, kowalowo?... — rzekła idąc do płotu. — Niech będzie pochwalony!... A ja właściwie też do was chciałam wstąpić od ojca i byłabym na śmierć zapomniała przez tego Judasza!...

Mówiąc to podniosła swój kij i potrząsnęła nim gniewnie.

— Cóż tam tatunio do mnie nakazał? — spytała prędko Szarakowa.

— Ano... płacze mi się przy nogach i nie tylko nie pomaga, ale jeszcze przeszkadza chodzi... Za to, zem go z gnoju wydobyła!...

— A co tatunio mówił przez was?... — powtórzyła niecierpliwie kowalowa. — Byliście we młynie dzisiaj?...

— Jużci, że byłam... Ligaj, podlec!... — gniewała się dalej baba rzucając kij na krawędź płotu. — Zamawiałam Sołtysiakowi f r y b r ę, co go już drugi tydzień trzęsie, i wstąpiłam wczoraj, po drodze, do młyna.

— Tatunio zdrowi?...

— Oj! oh!... Kazał ino, żeby Małgosia przyjechała do niego jutro ze Staszkiem, a wasz — żeby także na niedzielę był we młynie...

Babina, zapomniawszy widać o swym kiju, oparła się na płocie i mówiła dalej:

— Widzicie, tak: organista, ten niby wasz Zawada, kupuje grunt i chce od Stawińskiego, niby od tatunia waszego, pożyczyć pięćset złotych. Był we środę we młynie i prosił, ale Stawiński mu na to: "A po co ja wasanowi mam pożyczać pieniądze, kiedy wasan pokrzywdziłeś kowala i gniewasz się z nim?..."

— Sprawiedliwie mu tatunio powiedział!... — wtrąciła Szarakowa.

— Więc organista na to: "Ja się z kowalem pogodzę i będę mu syna uczył." A stary na to: "Więc się wasan pogódź!" A on na to: "Kiej boję się pójść do kuźni, bo mnie p o t y r a. U was byłbym śmielszy, jeszcze bym nawet za to parę butelek miodu postawił, żeby się pogodzić..."

— Wykrętacz! — przerwała kowalowa. — A dawne to czasy, kiedy gadał, co w Piśmie świętym stoi, że kowale i kominiarze od Kaina i od Chama pochodzą i że się rodzą na bratobójców?... Bodaj on s c z e z ł!...

— No, jeśli tak w Piśmie świętym stoi, to organista temu nie winien — zauważyła stara.

— Szczeka! — zawołała w uniesieniu Szarakowa. — My także wiemy, co gdzie stoi... Od Chama pochodzą chłopcy, a mój przecie nie chłop, a od Kaina — Turki, a mój przecie nie Turek. Nikogo nie zabił!...

Grzybina lubiła popisywać się wiadomościami wobec "potomków Chama", tym razem jednak milczała dyskretnie, pamiętając, że ma do czynienia z osobą piśmienną, z kowalową, a do tego — córą młynarzy Stawińskich!

— Wstąpcie do chaty, odpocznijcie — rzekła nagle gościnną Szarakowa patrząc na zmęczoną staruszkę.

— Nie mogę! — odparła baba i pochwyciła kij. — Muszę iść do Mateuszowej krowę jej okadzić, bo ją rozděło... No — dodała wstrząsając kij — a ty się dobrze sprawuj na resztę drogi, bo cię...

— Co wy gadacie?... — ostrzegła ją kowalowa.

— A co nie mam gadać?... To niech bestia skacze prosto, a nie powłóczy się jak pijany...

— Wasze to nogi, matulu, nie statkują; kij temu nie poradzi!

— Ale!... — odparła stara machając niecierpliwie ręką. — Chodziły one przez osiemdziesiąt lat, a teraz by miały zwodzić?... Zostańcie z Bogiem!...

— Idźcie z Bogiem!... — rzekła kowalowa za uciekającą babką.

Gdy została sama, znowu ją gniew porwał na organistę.

"Patrzajcie! — myślała — chłopca mi skrzywdził, odzienie mu poplamił, a teraz chce się godzić, kiedy mu pieniędzy potrzeba... Nie bój się! — szepnęła wygrażając pięścią w stronę szarej dzwonnicy — i pieniędzy nie dostaniesz, i gruntu nie kupisz, i jeszcze ci przy ludziach wszystko wypomnę!... Akurat dla niego tatunio pięćset złotych uzbierał... Niedoczekanie twoje, dziadowodzie!..."

Chcąc czym prędzej zakomunikować uwagi swoje mężowi, przeskoczyła przez płot i pobiegła do kuźni. Zdawało jej się, że już cały świat wie o przewrotności organisty, bo nawet pękaty, połatany miech gniewniej niż kiedy sapał i ział z paszczy płonące iskry.

Wywołała męża i opowiedziała mu wiadomość przyniesioną przez babę.

— A to chwała Bogu, kiedy się organista chce pogodzić — odparł dobrodusznie zasmolony olbrzym wysłuchawszy opowiadania żony.

Młoda gosposia aż ręce załamała ze zgrozy.

— I ty byś się z nim pogodził?... — krzyknęła.

— Ma się wiedzieć!... A kto będzie uczył Staszka? może profesor?...

— Ty się z nim pogodzisz za to, że ci butelkę o łeb rozbił?...

— Przecież nie łeb pękł, ino butelka...

— Za to, że cię od smoluchów wyzywa, z kominiarzem równa?...

— Jakem nie umyły, tom smoluch; wszyscy o tym wiedzą, a ty najpierwsza — mówił kowal nie mogąc dojść powodu zawziętości żony.

Szarakowa wstrząsnęła głową.

— Doloż moja! — zaczęła biadać — otom ci los zrobiła!... Toś ty chłop?... To twój ojciec z moim stryjem służył w wojsku, a ty nie masz ambicji?... Ja baba jestem — mówiła zadyszana — a oczy bym mu wy drapała, a ty się chcesz godzić?... Toś ty mąż Stawińszczanki, ze szlacheckiego gniazda żonę wzięłeś, a wstydu nie masz w oczach?...

Kowal zachmurzył się.

— Co nie mam mieć wstydu w oczach?... — mruknął.

— Przecież godzić się chcesz z organistą...

— Co mam chcieć?...

— Przecie dopiero co mówiłeś?...

— Co miałem mówić?... Toś ty gadała, że ojciec tak kazał, no — a nam wypada go słuchać...

— Albo mój tatunio to twój ojciec?... Ty go nie potrzebujesz słuchać, tylko ja... Tyś nie powinien godzić się z organistą, choćbym ja nawet chciała na rozkazanie tatunia...

Ponieważ od kilku minut chłopcy w kuźni wodzili się za łby, co robiło dość wielki szelest, kowal więc pragnął już wrócić do roboty, a może i uwolnić się od kłopotliwej rozprawy z żoną. Rzekł więc energicznie:

— No, kiedy tak, to nie ma zgody z organistą. Ojciec niech sobie chce czy nie chce, mnie tam wszystko jedno. Ale ja nie chcę... Nie będę się godził... nie pojedę na niedzielę do młyna ani ty jutro ze Staszkiem, i b a s t a!...

— A właśnie, że ja pojedę jutro, a ty w niedzielę — przerwała żona.

— He?... — spytał Szarak i chciał się wziąć ręką pod bok, ale go w porę odeszło.

— Będziemy oboje we młynie i niech organista przyjedzie, ale po to, żeby przy ludziach usłyszał, co ja mu powiem... Tak...

Mąż popatrzył na nią z ukosa, może nawet chciał splunąć przez zęby, ale dał spokój i zawrócił powoli do kuźni skrobiąc się w głowę. Tam chłopcy jeszcze się czubili; Szarakowi jednak łatwiej przyszło uspokoić ich aniżeli przed chwilą wyrozumieć swoją małżonkę.

Gdy kowalowa wróciła do sadu, Staś już nie spał, lecz borykał się z Kurtą. Matka ucałowawszy żwawego dzieciaka zostawiła go pod psim dozorem na dworze, sama zaś z uzbieraną sałatą poszła do izby obiad kończyć. Cały czas aż do nocy zeszedł jej na przygotowaniach do jutrzejszej podróży i na układaniu planów zemsty. Jeżeli się uda, organista zostanie skompromitowany na wieki!

Na drugi dzień w chacie kowala był zamęt od świtu. Gospodyni wychodziła na dwie doby 'do ojca, musiała zatem gruntownie opatrzyć gospodarstwo. Zdawało się, że wszystko czuje jej odejście. Kurta jakoś mało jadł i tylko wyskakiwał koło Stasia. Krowy odchodząc na paszę ryczały bardzo żałośnie, a wieprzki aż wysadzały drzwi chlewka, tak im się chciało gospodynią pożegnać.

W dodatku, trzeba było wcześniej podać obiad i kłócić się z mężem, który co moment przychodził z kuźni i mruczał:

— Także diabli nadali z tymi chodzeniami na próżno! Mamy się godzić z organistą, to idźmy do młyna, a nie mamy się godzić, to nie idźmy. Po co sobie większego nieprzyjaciela robić?... Jeszcze nas przeklnie w czasie Podniesienia i ogień sprowadzi na dom albo choroby na nas i na bydło!...

Wówczas kowalowa brała męża za ramię i wypychała go z izby mówiąc:

— Już ino ty się nie wtrącaj... Ty masz serce kowalskie, ale ja mam rozum szlachecki i tak dogodzę organiście, że się pierwej on spali ze wstydu aniżeli my od ognia!...

Po obiedzie, umywszy razem z dziewczuchą statki, Szara-kowa jeszcze raz obeszła wszystkie zakątki i została na pożegnanie ucięta od pszczoły, aż się jej łyzy w oczach zakręciły. Potem wyciągnęła wózek na podwórze, włożyła na dno sien-niczek, na sienniczek poduszeczkę, a na wierzch Stasia i — ucałowawszy męża ruszyła w drogę.

Wszystkie te przygotowania niezmiernie cieszyły Kurtę, a gdy gospodyni wzięła dyszel wózka do ręki, pies wpadł w szal. Skoczył naprzód na Stasia i zdarł mu chusteczkę z głowy, potem o mało co nie oberwał wąsa kowalowi, a zgromiony przez niego, rzucił się z wielkim impetem na gospodynię i ledwie jej nie przewrócił.

Tak gwałtowne oznaki radości na złe wyszły Kurcie. Szarakowa bowiem przypomniała sobie, że nie można domu bez psa zostawić, i — kazała go wziąć do izby. Dziewucha Magda z niemałym trudem zaniosiła Kurtę do kuchni, psisko jednak w tej samej chwili wyskoczył na dwór oknem i weselił się jeszcze bardziej. W rezultacie dostał niebożę w kark chustką od pani, w bok obcasem od pana, w grzbiet drewnem od dziewczuchy, po czym zaniiesiono go do pustego chlewa i zamknięto na kołek. Pies był tak strasznie, że niejedna baba w polu, usłyszawszy go, przewidywała nieszczęście i zawczasu modliła się za dusze zmarłych.

Dzień był skwarny. Tu i ówdzie na niebie stały białe obłoki, jakby rozmyślając: gdzie ukryć się przed spiekotą?

Pod nogami Szarakowej i kołami wózka cicho skwierczały ziarna ciepłego piasku. Niedostrzeżony w górze skowronek świergotem witał podróżną matkę i jej syna, a spomiędzy zboża

makówki i chabry ciekawie wychylały się na drogę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie jedzie kto znajomy.

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Oto ich dom na wzgórzu, jak sukienką odziany winogradem. W tej chwili żuraw studni zniża się: pewnie Magda poszła po wodę. Przed kuźnią stoi jakiś człeczyna z konikiem, ale ich kowal widać jeszcze nie spostrzegł, bo bez przerwy biją młoty, nad których stukiem i brzękiem góruje żalosne skomlenie Kurty...

Istny obrazek! Zdało się, że Szarakowa zaczerpnęła w nim nowych sił i ciągnąc wózek pędem zbiegła ze wzgóрка.

Droga szła kręto i falisto. Co kilkadziesiąt kroków wznosiły się pagórki coraz większe. Najwyższy przypada wśród brzozowego lasu, który leży tam w dole tak blisko, że na pozór dosyć rękę wyciągnąć, aby schwycić go za gałązki. W rzeczywistości, było do niego z pół godziny marszu.

Powoli chatka, i kuźnia znikły, a nawet lament Kurty ucichnął. Piasek pogłębiał się, słońce piekło coraz mocniej, obłoki stały w jednym miejscu jak puste promy na brzegu Wisły i tylko coraz inny skowronek życzył wędrowcom szczęśliwej drogi.

Szarakowej tak dobrze było w tej chwili na świecie, że z jej serca ustępował nawet gniew na organistę. A gdyby też się pogodzić z nim?...

— Niedoczekanie jego! — mruknęła. — Nie po to ja się męczę dziś na skwarze, żeby mu pięćset złotych wypracować...

Staś tymczasem leżał w wózku, oczarowany nowymi wrażeniami. Pierwszy raz wprost oczu widział nieograniczony horyzont i niezmierną głębię szafirowego nieba. Nie umiał jeszcze pytać: co to jest? — ani dziwić się; czuł tylko rzeczy niezwykle. Ziemia, po której dotychczas chodził, znikła; gdzie zwrócił spojrzenie, spotykał niebo. Zdawało mu się, że leci, że tonie wśród ogromu, którego nie umiał jeszcze nazwać przestrzenią. Dusza jego zapełniała się treścią nieokreśloną i spokojną.

Był on jak anioł złożony z głowy i skrzydeł; unosił się wśród bezmiarów, nie pamiętał przeszłości, nie myślał o przyszłości, lecz w każdej chwili czuł nieskończoność. Taką formę bytu musi mieć — życie wieczne.

Nagle horyzont zaciemniły mnogie zielone gałązki, na wózek padł cień. Wjechali w las i zbliżali się do najwyższego wzgóрка.

Spiekota, ciężar wózka i gniew na organistę wywarły pewny wpływ na kowalową. Uczuła zmęczenie. Chciała usiąść między drzewami i odpocząć, ale bała się opóźnienia w drodze, a przy tym... w lesie?... Gdyby była sama, nic by jej las nie obchodził; ale obecność Stasia robiła ją ostrożną nie wiadomo przed czym. O wilkach i zbójcach nikt tu nie słyszał; kobieta jednak zlekłaby się teraz nawet zająca, gdyby wyskoczył...

Ach! ten las... długi na jakie dziesięć pacierzy... Żeby choć Kurtę wzięła z domu, byłoby jej weselej... On tam płakał zamknięty, a w tej chwili nawet psia krzywda padła na duszę kowalowej ciężkim brzemieniem.

Ach! żeby z tego lasu prędzej wyjechać!... Żeby choć na ten wzgórek dostać się!... Szarakowa zdjęła chustkę i położyła ją na wózku. Mała ulga. Pot spływał z niej strumieniami, a wraz z nim i siły. Zdawało jej się, że chyba nie dosięgnie do wzgóрка, a cóż dopiero mówić o szczycie!

Przed samym wzgórkim, na prawo od podróźnej, biegła z głębi lasu inna droga i w tej właśnie chwili na tamtej bocznej drodze rozległ się łoskot lekkiego powozika. W Szarakową wstąpiła otucha: teraz przynajmniej nie będzie samą!...

Pospieszyła się i niebawem ujrzała powozik na kształt biedki, ale bardzo ładnie zbudowany i skórzanym daszkiem okryty. Biedkę tę, na resorach, ciągnął piękny koń gniady; wewnątrz siedział jakiś pan, którego jednak Szarakowa dobrze zobaczyć nie mogła, ponieważ w tej chwili ekwipaż

zawrócił na drogę i stanął do niej tyłem.

"Oj! żebyś ty mnie podwiózł!..." — pomyślała kowalowa, lecz nie śmiała odezwać się do właściciela dryndulki, choć szła tuż za nią.

Biedką ową, zbudowaną tak kunsztownie, jechał pan Łoski, obywatel ziemski i sędzia gminny. Wracał on z sądów do siebie i niewątpliwie chętnie by podwiózł zmęczoną a ładną kobietę, gdyby ją spostrzegł! Niestety, pan się dzia był głęboko zamyślony i nie tylko nie zauważył Szarakowej na zakręcie drogi, ale nawet nie słyszał jej przyśpieszonego oddechu.

Podróżni dotarli do stóp wzgórka. Powozik toczył się noga za nogą; krok w krok za nim szła kowalowa ciągnąc swoje brzemie.

Wzgórze miało ze dwieście kroków wzwyż i było dość przykre. Skutkiem tego Szarakowej przyszła myśl ulżyć sobie na koszt konia. Nie zastanawiając się długo, zaczęła dyszelek wózka o oś biedki.

Plan był cudowny: zahaczony dyszelek trzymał się doskonale, wózek ze Stasiem jechał jeszcze lepiej, a kobiecina przynajmniej odetchnęła. Byle na szczyt!...

Sama szła z tyłu wózka i ulegając głosowi znużenia mocno, obiema rękoma oparła się na krawędzi. Było jej znakomicie lżej, tak lekko, że chętnie przeszłaby tym sposobem nawet dwa razy dłuższą drogę niż z domu do młyna. Ale icóż, kiedy na tym świecie zadowolenia ludzkie trwają bardzo krótko!... Już przejechali połowę wysokości pagórka... Już tylko z pięćdziesiąt kroków do szczytu... Bóg ci zapłać, koniku, żeś nas tu wciągnął!... Pora odpiąć wózek od biedki...

Nagle koń ruszył klusem i biedka, za nią wózek, a w nim Staś — zjechali na dół!...

Szarakowa skamieniała. Nim zdążyła krzyknąć: "Stójcie!" — już biedka sędziego i wózek Stasia były na dole.

— Ratunku! — jęknęła kobieta puszczając się z rozpostartymi rękoma na dół. Jak błyskawica przemknęła jej myśl, że o byle kamień przewrócić się może wózek...

Ale wózek płynął w piasku jak w puchu, małe kółka kręciły się i chwiały jak szalone, Stasiowi zaś szybka jazda sprawiała niezmierne zadowolenie... Sędzia, nie wiedzący o niczym, był niemniej wesół, a jego koń, któremu nagle ubyło ciężaru, aż parskał z radości i rwał się do galopa.

Przez chwilę zdawało się Szarakowej, że uciekających dopędzi, że ją choć usłyszą. Ale gdzie tam... Zatrzymała się chcąc krzyknąć ze wszystkich sił, choćby jej płuca pękły. Lecz zaledwie otworzyła usta, głos w niej zamarł... Ujrzała, że coś wypadło z wózka. Dobiegła bliżej — to tylko jej chustka... Koń zwolnił... Zbliżyła się jeszcze bardziej. Już widzi wyraźnie główkę Stasia i jego rączki, ślicznie ułożone około boczaków...

— Stasięńku mój!... Ratujcie!...

Wózek zachwiał się i potoczył jeszcze prędzej. Już dziecku rączek nie widać, już główka niewyraźna, już wózek coraz mniejszy...

Szarakowa nie mogła pojąć, dlaczego przed koniem nie wyrasta wał ziemi, dlaczego niebo drogi nie zagracza, dlaczego drzewa nie zabiegają jadącym. Ileż tu ptaków siedzi na gniazdach i widzi jej macierzyńską rozpacz, a żaden nie śpieszy z pomocą. Żeby choć który ptaszek odezwał się do pana: stój!... żeby choć który kamień na tę ciężką chwilę ocknął się ze swej drzemki... Na próżno! wszystko milczy...

Spojrzała w niebo! Nad jej głową wiewiórka spokojnie gryzie szyszki. Obłoki stoją na miejscach. Słońce pali jak dawniej... Spojrzała na drogę, a tam — biedka już niewyraźna, a wózek ledwie żółcieje. Zdawało się, że na tym nieszczęsnym wózku leży jej serce gwałtem z piersi wydarte, bez miłosierdzia nie wiadomo gdzie ciągnięte, a przywiązane do niej nitką, która coraz bardziej cieńczała. Jeszcze chwilę — i pęknie nitka, a wraz z nią serce i życie biednej matki!

Powozik stopniowo malał i tonął między chwiejącą się zielenią drzew. Już jest taki — jak ptak... Teraz na chwilę znowu znikł, lecz znowu się pokazał... Znowu znikł...

Szarakowa przetarła oczy pełne kurzu i łez. Nie widać nic!... Wybiegła na środek drogi. Nic... Przeszła na drugą stronę... Coś w dali mignęło, lecz wnet znikło... Wyczerpana z sił, przywalona bólem, upadła twarzą na ziemię i zwinięta w kłębek poczęła wyć jak samica, której od przepełnionych piersi oderwano szczenie.

Wówczas na pagórku, gdzie ją takie nieszczęście spotkało, ukazał się konik w hołobli, a za nim świątobliwie ogolona fizjognomia, należąca do człowieka, który siedział w niewielkiej, lecz mocno trajkoczącej bryczce. Szarakowa nie słyszała turkotu, nie widziała podróżnika, ale za to on spostrzegł skurczoną postać ludzką na drodze i zatrzymał konia.

"Pijana czy umarła?... — myślał uroczyście ogolony wędrowiec. — Cholery dostała czy ją kto zabił?... Jechać czy wrócić?..."

Patrzący z wysokości swego siedzenia na padół ludzkiej nędzy lękał się zbójców, cholery i sądów i już pociągnął za lejc, aby skrócić, gdy wtem — przyszła mu na myśl ewangelia na niedzielę dwunastą po Świątkach, zapisana u świętego Łukasza w rozdziale dziesiątym, o zranionym i Samarytaninie: "A przystąpiwszy zawiązał rany jego nalawszy oliwy i wina; a włożywszy go na bydlę swoje, wprowadził do gospody i miał pieczę o nim."

Dzięki temu wspomnieniu bryczka potoczyła się naprzód, jednak bardzo powoli i ostrożnie, aż do kobiety. Potem stanęła i siedzący w niej Samarytanin pochyliwszy się szturchnął z lekka kowalową biczyskiem.

— Hej! hej!... — krzyknął. — *In nomine Patris et...* Szarakowa zerwała się na równe nogi i patrząc błędnymi oczyma w ogoloną twarz podróżnego szepnęła:

— Pan organista?...

— A ja!... — odparł — ale co się stało?...

— Staś mi zginął!... O dla Boga!... — jęknęła i oparła się na krawędzi bryczki.

— Cóż to?... Cygany go porwały?... Panie święty!...

Szarakowa opowiedziała w kilku słowach wypadek.

— Eh! kpij pani z tego!... — zawołał organista. — To wyraźnie jakiś szlachcic jechał... Panie święty!... no, a tacy nie kradną dzieci. Siadaj pani do bryczki!... *Et cum spiritu tuo*

— Po co?

— Jak to po co? Panie święty!... Będziemy szukać chłopca i amen!...

— Może on już?...

— Co może on już? Myślisz pani, że nie żyje?... A kogóż ja bym uczył?... Jeżeli ja go mam uczyć, gdy będzie miał, Panie święty, lat sześć, to jużci chłopak nie umrze w drugim roku... *In saecula saeculorum...*

Dowodzenie organisty, a nade wszystko jego łacina, były tak niepokonane, że kowalową milcząc siadła na bryczkę i pokornie umieściła się na koziołku twarzą do organisty. Ale wierny, choć popędliwy sługa kościoła nie pozwolił na to.

— Bardzo proszę... Panie święty!... — zawołał. — Bardzo proszę na siedzenie, a ja na koziołek pójdę... *Introibo ad altare Dei...*

— Panie organisto, co też pan robi?...

— Tak!... Byłbym chyba, Panie święty, człowiek bez edukacji, żebyś pani, żona i córka moich przyjaciół, siedziała na kozle... Ja powożę, ja idę na kozioł... *Sicut eratin principio...*

Szarakowa wykonała rozkaz organisty nie śmiejąc mu w oczy spojrzeć. Wszakże to dla dokuczenia mu wybrała się dziś w podróż!... Ale Bóg, dbały o sługi swoje, pomieszał plany zemsty i

sprawił, że właśnie organista wydobędzie Ją z niedoli.

— Uważa pani Szarakowa — mówił szlachetny opiekun. — Ja, Panie święty, mam interes od jegomości do pana Łoskiego, tego, co to jest sędzią gminnym, ale pierwszej odwiozę panią do miasteczka i tam dowiemy się od Żydów, który szlachcic z tych stron jeździ krytą biedką? Potem wynajdziemy Staszka, potem odbierzemy go, i panią odtransportuję z dzieckiem do młyna. *Indulgentiam, absolutioem et remissionem peccatorum nostrorum...*

Ale Szarakowa nie słuchała już jego programatu kaznodziejskim wygłoszonego tonem, lecz oparła głowę na rękach i zaniosła się od płaczu. To ją uspokoiło nieco.

W pół godziny później bryczka wjechała na miejski rynek przy akompaniamencie trzaskania batem i łaciny hojniej niż zwykle szafowanej przez wzruszonego organistę.

Pan Łoski był to mężczyzna w średnim wieku, uczciwy i przyzwoity; miał przy tym dużo rozwagi, spory majątek i angielskie faworyty. Niewielka łysina świadczyła, że dobry obywatel musiał niejednokrotnie za młodych lat mury głową przebijać i w ogóle nie pędzić bogobojnego życia. Okoliczność ta jednak nie podkopywała szacunku, jaki miał u sąsiadów; dla żony zaś robiła go jeszcze droższym, mieszając do obecnego szczęścia w pożyciu małżeńskim — odrobinę żalu za wczoraj i niepokoju o jutro.

Wybrany na sędziego gminnego, pan Łoski pełnił urząd wśród powszechnego zadowolenia. Nie chcąc zaś ludzi odrywać od pracy, sprawił sobie elegancką krytą biedkę na resorach i do, sądu, o dwie mile odległego, jeździł sam. Toteż ile razy wracał z posiedzeń zbyt późno, pani miała zwyczaj zapytywać go od niechcienia:

— Wstępowałeś do sąsiadów?

— O nie!... — odpowiadał. — Wracam prosto z biura.

— Ach!... — kończyła pani żalując w duchu, że mężowi do owego biura nie towarzyszy stangret, a przynajmniej jakiś chłopczyzna.

Nie minie się z prawdą nadmienając, że i znajomi sędziego, a najbardziej damy, podzielały do pewnego stopnia wątpliwości pani Łoskiej co do niewinnego trybu życia jej małżonka. Sława, raz zdobyta, trwa wiecznie!

W dniu, w którym zdarzył się opowiedziany wypadek na drodze, pan Łoski wracał do siebie około drugiej po południu. Spraw w sądzie miał dziś niewiele, w domu oczekiwało go kilka osób z sąsiedztwa, więc pośpieszał. W chwili gdy Szarakowa przyczepiła mu wózek do biedki, zastanawiał się nad procesem dwóch gospodarzy o kurę; później myślał o sposobach zabawienia swoich gości i ani przypuszczał, że może się stać niewinnym powodem ciężkiego zmartwienia kowalowej i przedmiotem uciechy dla sąsiadów.

W końcu lasu droga do majątku sędziego zbaczała od gościńca na lewo. Łoski wjechał na nią bez przygody i wy dostał się na otwarte pole. W jednym miejscu kilku ludzi kopało rowy i sędzia zauważył, że ludzie ci z wielkim ożywieniem pokazują sobie nawzajem jego biedkę.

Później spotkał babę z małym chłopcem, którzy zatrzymali się na drodze i tak szeroko otworzyli usta, jakby mieli zamiar połknąć gniadego konia wraz z powozikiem. Te znaki podziwu niezmiernie pochlebiali sędziemu, który z pociechą przekonał się, że ulubiony jego ekwipaż zaczyna zwracać uwagę.

Staś, z początku zachwycony prędką jazdą i podskakiwaniem wózka, znudził się i zasnął marząc pewnie o figlach Kurty i pocałunkach matki. Niebawem biedka, stuknąwszy, o próg bramy, wjechała na podwórze.

Przede dworem, wśród kwiatów, pod płócienną weren-dą, pani sędzina i towarzystwo dam i mężczyzn czekało na gospodarza. Sędzia spostrzegł to i pragnąc zajechać z szykiem, postanowił

okrążyć dokoła duży gazon. Ściągnięty lejcami koń począł wyrzucać do góry piękny łeb i przebierać nogami do taktu. Sędzia, nie chcąc być gorszym od niego, także wyprężył nogi, wyprostował się wdzięcznie i przybrał postawę dżentelmena.

Rzeczywiście, obrachowany efekt nie zawiódł go. Gdy bowiem okrążając dziedziniec znalazł się naprzeciw weren-dy, całe towarzystwo poczęło klaskać, wołać: brawo!, i manifestować różne inne oznaki zadowolenia.

Łoski ściągnął lejce jeszcze mocniej, koń wyrzucił łbem jeszcze zręczniejsze, biedka i przyczepiony do niej wózek z dzieckiem, toczyły się jeszcze uroczyściej, a aplauzy widzów przybrały pozory szalonej wesołości. To już zdziwiło sędziego, tym bardziej gdy spostrzegł, że nawet stary jego sługa gryzie sobie wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Brawo!... brawo!... winszujemy!... cha!... cha!... — wołali mężczyźni.

Łoski wysiadł z biedki i osłupiał widząc, że damy przybrały minki bardzo dwuznaczne, a jego żona, jasna blondynka, istny anioł dobroci, ma niewyraźny uśmiech na ustach i — bardzo wyraźne łzy w dużych, łagodnych oczach.

— Odprowadź konia do stajni! — rzekł na dobre zakłopotany sędzia do służącego.

— A z tym co zrobimy, jaśnie panie?... — zapytał stary frant pokazując serwetą na wózek.

Łoski obejrzał się i struchlał zobaczywszy przedmiot tak mało mający związku z jego stanowiskiem męża i stróża sprawiedliwości. Fatalna sprawa wikłała się jeszcze bardziej przez to, że państwo Łoscy nie mieli własnych dzieci.

— Winszujemy znaleźnego!... — wołali mężczyźni.

— A zróbcież mnie choć ławnikiem!... — krzyczał osiemdziesięcioletni eks-pułkownik, stary kawaler.

Damy tymczasem otoczyły wózek, na którym Staś obudził się i zaczął płakać.

— Śliczne dziecko! — mówiła jedna.

— Jakie delikatne!

— Musi mieć przynajmniej rok — dodała trzecia.

— Toteż sędzia akurat dwa lata pracuje dla publicznego dobra!... — huknął tubalnym głosem pułkownik...

— Ależ, panowie, to musi być pomyłka!... — tłumaczył się zmienionym głosem nieszczęśliwy sędzia.

— W takim adresie nie może być pomyłki! — wtrącił niepoprawny pułkownik. — Ale nie ma co mówić, chłopiec śliczny jak malowidło!

Korzystając z rejuwachu pani Łoska wymknęła się do pokoju. W kilka minut wróciła stamtąd z mocno zaczerwienionymi oczyma, ale już spokojniejsza i jakby zrezygnowana. Za nią toczyła się stara, gruba szafarka.

Gdy sędzina drżącymi rękoma wydobyła Stasia z wózka i oddała go szaf arce, biedny mąż niezwykle pokornym głosem zapytał:

— Co z nim myślisz robić?...

— Przecież go nie oddam na folwark... — odparła cicho żona z odcieniem wyrzutu w głosie.

Usłyszawszy to młode panie zarumieniły się, starsze spojrzały po sobie, nawet mężczyźni spowaźnieli, a pułkownik odezwał się:

— No, kochana sędzino, odkładając żarty na stronę, dobrze pani zrobisz nakarmiwszy zaraz chłopca, który musi być głodny. Swoją drogą jednak trzeba dać znać do parafii i do wójta, ponieważ jest oczywiste nieporozumienie, a rodzice tego malca muszą być w diabelnych opałach...

Szafarka tymczasem, pilnie przyglądając się dziecku, mruzczała:

— Jak rany Chrystusa kocham, wykapany nasz pan!.. Nasz pan był taki sam, kiedy miał rok!.. Pamiętam go przecie: nos, oczy a nawet pieprzyk na szyi... Takuteńki sam! Oho!... to nie chłopskie dziecko...

Aby przerwać niesmaczne uwagi, sędzina lekko popchnęła gadatliwą kobietę na ganek i kazała dziecko nakarmić i umyć. Towarzystwo już ochłonęło i wszyscy zaczęli narzekać na prawdopodobną nieuwagę piastunki, która wózek przypięła do biedki, a zarazem ubolewać nad zmartwieniem rodziców. Sędzia potakiwał im, usiłował odgadnąć, w której wsi malca przyczepiono; a gdy rozmowa przeszła na inny temat i żona uspokoiła się, przynajmniej na pozór, Łoski opuścił na chwilę gości i pobiegł do garderoby.

Tam szafarka, rozpędziwszy służbę, trzymała malca na kolanach i karmiła go bułką z mlekiem. Staś jadł, lecz zarazem oglądał się niespokojnie po nieznanym pokoju, jakby szukając matki. Gdy sędzia wszedł, chłopiec, ujrawszy mężczyznę, z wyciągniętymi rękoma rzucił się gwałtownie naprzód i zawołał w swoim pieszczotliwym języku:

— Tata!... tata!..

— Głos krwi!... Jak rany Chrystusa kocham! — krzyknęła szafarka. — Ach! co to za mądre dziecko... rychtyczek jak pan.

Sędzia zbliżył się do malca, popatrzył na niego uważnie, delikatnie dotknął jego opalonej buzi, a potem, obejrawszy się na prawo i na lewo, pocałował Stasia. Zrobiwszy to ku nieopisanemu rozczuleniu szafarki, wyszedł do sieni.

W sercu jego budziło się dziwne uczucie. Był roztkliwiony, niespokojny, ale zarazem kontent i dumny. Staś podobał mu się bardziej niż jakiegokolwiek inne dziecko.

Na kurytarzu spotkał żonę, lecz nie śmiał jej spojrzeć w oczy. Widząc to podała mu rękę i rzekła półgłosem:

— Ja już się nie gniewam.

Łoski przycisnął ją mocno do piersi i nagle wyszedł na ganek obawiając się, by nie spostrzegła, że jest wzruszony.

Sobota w małych miasteczkach bywa dniem ciszy i wypoczynku. Z tego powodu pan burmistrz miejsciny X, pani burmistrzowa i rejent, ich przyjaciel, wyszli po południu na spacer.

Burmistrz, człek mały i pękaty, szedł naprzód. Prawą rękę, w której trzymał laskę, założył na plecy; lewą, zgiętą w łokciu, niósł przed sobą w taki sposób, jak kwestujący w czasie sumy dziad nosi tackę. Przy tym uśmiechał, się ciągle i przymykał oczy; ludzie mówili, że robi tak, aby "nie wiedzieć, skąd pada", naturalnie na ową wyciągniętą rękę.

O kilkanaście kroków za nim postępował rejent, wysoki, podstarzały kawaler, z panią burmistrzowa pod rękę. Wątpimy bardzo, aby taki sposób spacerowania dziwił kogo w miasteczku. Wszyscy do niego przywykli nie wyłączając burmistrza, który był zawsze kontent i myślał o tym tylko, ażeby "gęsto padało".

Na cześć tej trójki miejscowych znakomitości pod drewnianymi domami rynku ziewało paru szabasujących Żydków, a obok zepsutej pompy drapał się leniwie pies, którego wyraźnie zarysowane żebra stanowiły ilustrację tutejszego dobrobytu.

W chwili gdy spacerujący dosięgali granicy rynku, wpadła prawie na nich z ogromnym impetem bryczka organisty. Pan burmistrz aż na bok uskoczył, a pan rejent, widocznie ze wzruszenia, poprawił sobie kołnierzyk.

Jednocześnie bryczka stanęła naprzeciw rejenta.

— Zwariowałaś acan, że tak pędzisz?... — zapytał rejent.

— *Laudetur Jesus Christus!*!... — odparł organista dotykając biczyskiem czapki.

Burmistrz spostrzegł zapłakaną Szarakową i zbliżywszy się do bryczki uśmiechnięty jak zwykle;

— A co to? — rzekł — stało się jakie nieszczęście? Umarł kto?... Spaliło się co?...

— Jaki nieprzytomny człowiek! — ciągnął rejent swoje. — O mało że nie przejechał mnie i Jó...

to jest prezydentowej.

— Synek mi zginął... Stasierek mój! — zawołała kowalowa, znowu zalewając się łzami.

— Co to za jedna?... — spytała pani burmistrzowa.

— Zdaje się, że to będzie córka młynarza Stawińskiego — objaśnił rejent.

— A tak... Stawińszczanka, a teraz kowalowa. O, pomóżcież mi go znaleźć, moiście wy państwo złote! — mówiła Szarakową trzęsąc się z płaczu na bryczce.

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się burmistrz — ma też czego płakać!... Takaś młoda, da ci Pan Bóg jeszcze z dziesięcioro!...

— *Andre, soyez convenable!* — zgromiła go pani burmistrzową, była. wychowanka pensji wyższej w mieście gubernialnym.

— O ratujcież mnie, moi złoci państwo! — jęczała kowalowa i pochyliwszy się na bryczce wyciągnęła ręce, jakby chcąc uścisnąć najprzód panią prezydentową, a następnie jej męża.

Ale pani prezydentową, która ukończyła pensję, z gestem oburzenia cofnęła się w tył, a niemniej obrażony mąż jej zawołał:

— Cóż, u diabła, za poufność!... Nie wiesz, kto jestem?...

— Jużci wiem, że pan — wielmożny burmistrz. Pomóżże mi znaleźć mojego syneczka... Już nie wiem, od kiedy go nie widzę, nieszczęśliwa! Może gdzie wyleciał z wózka i jeszcze go kto rozjedzie!

— A cóż mię to obchodzi? — spytał burmistrz. — Idź sobie do strażnika!... Ona myśli, że ja będę za jej bębnem chodził!... Słyszałeś, rejent?

Wyraz "bęben" obraził kowalową. Oczy jej obeschły, na twarz wybiegła krew.

— A od czegożeś pan burmistrz? — krzyknęła — może nie od tego, żebyś biednym ludziom pomoc dawał w nieszczęściu?... To mój Staszek bęben?... Paneś przecie taki sam był, a i on może kiedy, jeżeli się znajdzie...

W tym miejscu płacz zatamował jej mowę.

— Niedoświadczona kobieta! — mruknął organista, widocznie myśląc o tym, że burmistrz z wyciągniętą ręką nie jest od tego, ażeby biednym ludziom dawał pomoc w nieszczęściu.

Bądź co bądź, skutkiem wybuchu kowalowej sytuacja stałaby się bardzo drażliwą, gdyby nie wmieszał się rejent, który miewał interesa ze Stawińskim. Przerwał on kłótnię wzywając organistę, aby opowiedział, co się stało ze Stasiem.

Tymczasem dokoła bryczki zebrał się tłum Żydków, jakby spod ziemi wyrosłych, organista zaś całemu zgromadzeniu kaznodziejskim tonem opisał wypadek Stasia. Gdy w końcu podniesionym głosem zapytał obecnych, czy nie zna kto obywatela mającego krytą biedkę na resorach — jeden z Żydków zawołał:

— Ja wiem! to pan Łoski, sędzia...

— A słowo stało się ciałem! — krzyknął organista. — A toż ja właśnie do niego miałem interes i Bóg wie po com tutaj wstępował!...

Z tymi słowy zawrócił konia.

— O jedźcież prędzej, kumeńku serdeczny! — mówiła kowalową targając organistę za połę długiego surduta.

Na bryczce oparł się Żydek i rzekł:

— Pani Szarakowa! a niech pani pamięta, że to ja powiedziałem... Ja tam jutro przyjdę do kuźni...

— Cóż to znowu za szachrajstwo? — oburzył się organista. — Przecież ja sam doskonale

wiedziałem, że pan Łoski jeździ do sądu krytą biedką zaprzęzoną w gniadego konia...

— To po co się pan pytał, jeżeli pan sam wiedział?... — zawołał rozgniewany Żydek.

— Nie tłumaczę się przed takimi łachmytami! — odparł wyniośle organista zabierając się do jazdy.

— Jedźmy już, jedźmy!... — błagała Szarakowa.

— Aj! waj! jaki wielki pan!... — krzyczał Żydek chwytając lejce. — Panie organisto! ja panu coś powiem!.. Może by pan przychodził do mnie co niedziela grać na katarynce?...

Otoczająca wózek gromada wybuchnęła śmiechem. Dumny organista zbladł, ugodzony w najdrażliwszy punkt swojej ambicji, a w oczach błysnęła mu chęć zemsty.

Podniósł się z kozła i wyprostowawszy swoją długą figurę zawołał potężnym i uroczystym głosem: — Lejbuś! Ja ciebie chrzczę... *In nomine Patris*...

— Aj! waj!... Dy łobuz! Dy świńskie uches! — zawołała gromada rozbiegając się po rynku.

Organista w tej chwili zaciął konia i bryczka umknęła wśród tumanów kurzawy, śmiechów i wymyślań gawiedzi.

Jechali dobrym kłusem z dziesięć minut. Co moment Szarakowa stawiała i chwiejąc się na podskakującym wózku, patrzyła na drogę.

— Panie organisto!...

— A czego?

— Daleko to?...

— Mała milka, zajedziemy wnet!

Konik był mocny i zwinny, ale już i na jego gładkiej sierści ukazywały się wielkie plamy potu.

— Wio, mały! — krzyczał organista.

Niekiedy tuman, wlokący się za nimi jak ogon, równał się z bryczką, zabiegał im drogę i trzy pary oczu zasypywał drobnym piaskiem. Wtedy konik schylał głowę między kolana i parskał, organista przecierał oczy grubym rękawem i tylko biedna matka nie przymykając nawet powieki patrzyła na drogę.

— Panie organisto!...

Organista wiedział już, o co chodzi, i nie czekając odparł:

— Oto tam, między drzewami!... Widzi pani?... Za dziesięć pacierzy zajedziemy.

Skrecono na prawo. W polu kilku ludzi kopało rów. Wózek stanął.

— Hej! hej!... — zawołał organista kiwając na kopacza. Jeden z nich odłożył łopatę i szedł ku bryczce. W Szarakowej tętna biły jak młoty w kuźni i drżała tak, jak gdyby wózek jeszcze pędził, choć on stał.

— Pan wrócił do domu? — zapytał organista nadchodzącego kopacza.

— A jużci!

— A nie widzieliście wózka za jego biedką? — A jakże, widzieliśmy!

— I dziecko było tam?

— Musi że było, bo się c o s i k trzęsło we środku.

— Bóg wam zapłać.

— Jedźta z Bogiem!... To wasze?

— Nie moje... tej pani! — odparł organista wskazując batem za siebie.

— Panie organisto... — odezwała się kowalowa.

— Czego?

— Puśćcie mnie z bryczki... ja pójdę piechotą, bo mi się widzi, że prędzej zajdę...

— At! nie barłoczyłabyś pani... Wio, mały!

— O Jezu! Jezuniu!... czy choć ja go znajdę!... — szeptała kowalowa klękając na ruchliwym dnie bryczki.

Koń pędził galopem.

Może o wiorstę ode dwora organista spostrzegł jakiś bury przedmiot prędko toczący się od jednego brzegu drogi do drugiego. Gdy podjechali bliżej, poznał psa, który ze spuszczoną ku ziemi głową biegł przed bryczką.

— Kurta!... — krzyknął organista. — Patrzaj pani, wąż Kurta tu jest!

Pies zobaczywszy kowalowa począł wyć, szczekać, rzucać się do wózka i skakać do pyska koniowi, który parszkając oganiał się, jak umiał. Pocziwe psisko, wypuszczone z chlewa, za śladem Stasiowego wózka aż tu przybiegło!

— Wszystko idzie dobrze! — zawołał organista i ściągnął lejce.

Stanęli pod bramą dworską.

Kowalowa wysiadła, podeszła parę kroków i nagle oparła się o słup bramy, czując zawrót głowy. Organista wziął ją za rękę i tak poszli ku dworowi, poprzedzani przez Kurtę, który wciąż szczekał, skakał i obracał się w kółko.

Właśnie całe towarzystwo siedziało pod werendą przy obiedzie. Podróżni zatrzymali się u płotu, nieśmiało patrząc w stronę państwa, gdy nagle Kurta pocwałował naprzód.

Za nim pobiegła kowalowa i zadyszana, z podniesionymi rękoma, uklękła przy końcu stołu, gdzie na kolanach szafarki siedział Staś, żywy, wyspany i uśmiechnięty.

— A pójdziesz! ty zbrodniarzu!... — wołała przestraszona szafarka na Kurtę, który gwałtem usiłował na nią wskoczyć.

— Matka! matka! — zawołali państwo widząc kobietę, która przypadła do ziemi i z krzykiem całowała tłuste no-żęta Stasiowe.

Przerwano obiad; wszyscy powstawali i zbliżyli się do drugiego końca stołu, gdzie rozgrywała się zabawna scena: dwie kobiety kłóciły się o dziecko.

Szarakowa chciała odebrać swoją własność, szafarka znowu nie oddawała jej chłopca.

— To mój syn! mój Stasienko! — wołała matka.

— Coś acani za jedna?... — krzyczała mocując się z nią szafarka. — Także... ordynaryjność!... Łapie takie delikatne dzieciątko, jak połęć słoniny!

— Bo to moje!...

— Co panine?... To syn naszego pana, wszyscy tu po świadczą!... Taki śliczny... O, widzisz pani... Pan przyszedł... Oddaj pani chłopca!...

Całe towarzystwo śmiało się bez ceremonii. — Ale, państwo się śmieją — mówiła zaperzona szafarka — a to przecie jest syn pana!... Podobniuteńki!... A nie pójdziesz, psiawiaro!... — krzyknęła znowu na Kurtę.

Szarakowa klęcząc odwróciła głowę i ze zdumieniem spojrzała na tego, którego ojcem Stasia nazywano. Przypatrzwszy się rzekła z naiwną prostotą:

— Nie byłby on taki śliczny, jak jest, żeby był waszego pana. To syn kowala... Szaraka Józefa!...

W tym miejscu odezwał się organista i w mowie pełnej namaszczenia potwierdził, jako zgubione dziecko, które na chrzcie świętym otrzymało imię Stanisława, jest prawym synem Józefa i Małgorzaty ze Stawińskich małżonków Szaraków.

Wiadomość z tak poważnego źródła płynąca pani sędzina przyjęła z oznakami wielkiego zadowolenia, pan sędzia zaś — uśmiechnął się jak gdyby po spożyciu kwaterki niedojrzałych terek.

— Fiu! fiut! — gwizdnął stary pułkownik i dodał: — Poszło!...

Sędzia skrzywił się jeszcze lepiej i machnął niedbale ręką.

— Cieszę się bardzo — rzekł — iż biedny ten malec tak prędko odzyskał rodzinę!...

— To mi przypomina bajkę pod tytułem: *Lis i winogrona* — wtrącił pułkownik.

Panie przygryzały wargi, sędzia kręcił się jak na szpilkach, organista niczego nie rozumiał, a Szarakowa nie słyszała zajęta pieszczaniem Stasia.

Zbytecznym byłoby nadmieniać, że organista zmuszony był po raz drugi opowiedzieć przygodę Stasiową.

Nalitowawszy się nad matką, wszyscy śmieli się teraz z wypadku z wyjątkiem szafarki, której wielką boleść sprawiło to, że Staś nie jest synem jej pana.

— A taki mądry!... A taki podobny!... Ma nawet pieprzyk na szyjce — mruzczała stara.

Dla uzupełnienia dodamy, że organista, załatwiwszy u sędziego interes jegomości, odwiózł Szarakową do jej ojca i tam po raz trzeci opowiedział wiadomą historię struchlałemu Stawińskiemu. Wyjechawszy z młyna, tego samego dnia opowiedział ją po raz czwarty kowalowi, a po raz piąty jegomości.

W niedzielę po nabożeństwie Stawiński z córką i wnukiem tudzież wszystkie młynarczyki wylegli na most przypatrywać się jadącej od strony miasta jednokonnej bryczce, w której — o dziwo! — kowal Szarak siedział obok organisty Zawady jak rodzeni bracia...

Stary młynarz obu pogodzonym przeciwnikom wypalił długą i nudną oracją o potrzebie wzajemnego przebaczenia uraz, co w tej chwili było całkiem zbyteczne. Potem wezwał wszystkich na obiad, po obiedzie zaś doręczył organiście sumę pięciuset złotych jako bezprocentową pożyczkę na lat trzy. Skutkiem tego organista często później powtarzał ludziom w formie nauki moralnej następującą sentencją:

— Kochani bracia! Gdy rozpamiętywam swoje życie, widzę dokładnie, jako Pan Bóg miłosierny nigdy nie opuszcza ludzi takich jak ja — cnotliwych i sprawiedliwych *in saecula saeculorum!*...

W poniedziałek organista był już przy kościele, Szarak w kuźni, Staś bawił się z Kurtą na podwórzu pod okiem Magdy, a kowalowa pracowała w sadzie.

Około południa przed ich dom zajechała furka, z której jakiś człek, nie z tej wsi, zdjął piękne kasztanowate cielątko z białą gwiazdką na czole. Ponieważ małego czworonożnego widocznie bał się szczekającego psa i iść nie chciał, furman więc ujął go jedną ręką za kark, drugą za ogon i w taki sposób przyproceedził do zdziwionej Szarakowej.

— A co to?... skąd to?... — pytała gospodyni.

— A to wam pani Łoska podarowała na posag dla waszego chłopaka — odpowiedział człowiek.

— Józek!... Magda!... a chodźcie ino!... Staś będzie miał krowę!... Przysłali mu ją ze dworu... — wołała zachwycona kobieta całując cielątko, któremu niemniej zachwycony Kurta po trochu oskubywał ogon.

Tym epilogiem zakończyła się przygoda Stasia.

Przygotowano na podstawie bookini.pl